

TYGODNIK ILLUSTRACYJNY



№ 55.

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, $\frac{1}{13}$ października 1860.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartalnie rsr. 3. — Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM II.

TREŚĆ NUMERU.

Stanisław Hozyusz, kardynał biskup warmiński (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Andrzej Niegolewski na szczycie wąwozu Samo-Sierra (z drzeworytem). — Pałac biskupów w Pułtusku (z drzeworytem). — Otwarcie ochrony ubogich pod nazwą ks. Baudouina w Warszawie (z drzeworytem). — Bitwa pod Cecorą (dokonczenie). — Rozmaitości. — Korrespondencya od redakcyi. — Rozmaite gatunki szaranezy (z pięciu drzeworytami). — Rebus.

STANISŁAW HOZYUSZ, KARDYNAŁ BISKUP WARMIŃSKI.

W krótkich wyrazach objąć nie można tak wielkiego męża w Rzeczypospolitej, jakim był kardynał Hozyusz. Trzeba w całej pełni rozwinąć obraz tego znakomitego zawodu jaki odbył, a wtedy dopiero oceni się należycie jego stanowisko historyczne i jego wpływ na ludzi, na epokę, na kierunek w którym się rozwijała Rzeczpospolita. Każdy streszczony pogląd na to życie, pełne wrażeń i zapału, będzie szkicem, cieniem tylko obrazu, a takich szkiców mamy już dosyć.

W ostatnich czasach ks. Eichhorn, kanonik warmiński, postanowił na obszerną skalę nakreślić żywot Hozyusza i wygotował o nim całe dwa tomy, które wydał po niemiecku w Moguncyi r. 1854—5. Jest to praca szacowna, ale nie wypełnia jeszcze całkowitego obrazu. Eichhorn, chociaż używał dzieł polskich i łacińskich do napisania życiorysu Hozyusza, jednakże jako Niemiec, nieobeznany ze świeżą naszą literaturą historyczną, ze źródłami któreśmy teraz poznali, wiele opuścił, bo opuścić musiał. Wprawdzie z dzieła jego więcej poznamy Hozyusza, jak ze wszystkiego cokolwiek dotąd o nim napisano, ale zawsze nie możemy powiedzieć, żeby Eichhorn wyczerpał przedmiot; jeszcze i po jego dziele będzie wiele do powiedzenia o Hozyuszu. Nareszcie trzeba pisać o kardynale biskupie warmińskim z miłością kraju, czego w Eichhornie wcale niema, więc rysunek niezupełnie trafiony. Eichhorn pisał z miłością przedmiotu, ale jako Niemiec; pisał o wielkim człowieku, o swojej katedrze, o poprzedniku na stolicy biskupiej dzisiejszego pasterza, ale nie pisał o Polaku. Eichhorn nie mógł dobrze ocenić tego, co Hozyusz zrobił, co chciał zrobić dla narodu.

Po tylu szkicach, piszemy jeszcze raz o Hozyuszu słów kilka. Zanim wygotujemy obszerniejszą o nim

pracę, (którąśmy już dawno przyobiecali, a której dokonać nie pozwoliły nam okoliczności, bo wszędzie taka moc wykrywa się materyałów o Hozyuszu, a przejrzeć wprzód wszystkie potrzeba), otóż zanim wygotujemy tę pracę, rzucim tutaj kilka szczegółów o jego życiu, a będą między niemi i nowe; potem damy pogląd na stanowisko historyczne Hozyusza. W poglądzie naszym zostanie streszczenie żywota, myśl, serce i dusza kardynała.

Stanisław Hozyusz był synem Ulryka, a wnukiem

niósł się do Wilna i miał urząd w mennicy litewskiej. Zona jego Anna była bardzo pobożną niewiastą. Najpierwsze też wrażenia Stanisława były z tego powodu religijne. Ojciec usposobieniem swoim odpowiadał matce i był wielkim dobroczyńcą dominikanów wileńskich.

Urodził się Stanisław r. 1504, pospolicie powiadają że w Krakowie, lubo nie brakuje poszlak, że mógł rodzic się w Wilnie. Miał dwóch braci i siostrę. Z rodzeństwa był najstarszym.

Uczył się w akademii krakowskiej, zapisany w r. 1519 do Album, jako „Stanislaus Udalrici (filius) de Cracovia.“ Bakałarzem został w r. 1521 za dziekaństwa Marcina z Leżeńska (Muczkowski, Statuta nec non liber promotionum). Już w roku 1527 tak się dał poznać królowi, jako „juvenis optimis litteris praeditus et idoneus“, że jednocześnie dostał dwa beneficya wakujące po Marcinie z Dusznik, sławnym doktorze medycyny, jedno wileńskie, drugie trockie. Poznał go wtedy znakomity minister i biskup krakowski Tomicki i posłał do Włoch o własnym koszcie. Był Hozyusz w Padwie i Bononii, a powrócił do Polski w r. 1533 doktorem prawa.

Pracował najprzód przy Tomickim, potem przy Chojeńskim, podkanclerzych koronnych, w kancelaryi królewskiej w Krakowie. Zyskał wtedy i nowego protektora w Dantyszku biskupie chełmińskim, który zapamiętałe układał wiersze; ztąd przywiązanie Dantyszka do Hozyusza, bo obadwaj zajmowali się literaturą. Kiedy Dantyszek dostał się na katedrę warmińską, Hozyusz wziął po nim kanonią, i w lipcu 1538, w miesiąc po jej objęciu przez zastępcę, pojechał umyślnie do Warmii.

Po śmierci Chojeńskiego, królowa Bona i wielu biskupów ciągnęło Hozyusza, ale król go nie puścił i wziął do kancelaryi swojej na sekretarza. Hozyusz poświęcił się tu mianowicie wyrabianiu spraw pruskich, co potem było powodem królom Zygmuntovi Staremu i Zygmuntovi Augustowi, że go pesuwali po urządach ziem pomorskich. Znajdujemy już wtenczas ślady stosunków Hozyusza z Piotrem Gamratem i z Samuelem Maciejowskim. Dantyszek,

wychodźcy badeńskiego, który przybywszy do Polski, osiadł najprzód w Krakowie. Później Ulryk prze-

bił go kustoszem warmińskim, Gamrat kanonikiem



KARDYNAŁ HOZYUSZ.

krakowskim i sandomiérskim. W dyecezyi krakowskiej otrzymał probostwo gołąbskie i radłowskie. Król zachęcał go wtedy, żeby kończył historią narodu polskiego po śmierci Bernarda z Wapowa, ale Hozyusz téj pracy nie przyjął.

Hozyusz nieszlachcic, tylko na Pomorzu mógł być biskupem; ztąd Zygmunt Stary postanowił mu tam, nie w Polsce, dać biskupstwo: ale nie mógł dożyć téj chwili, żeby sam wynagrodził prace swego sekretarza, bo już był bardzo stary. Zlecił tę rzecz synowi.

W istocie w pierwszym zaraz roku panowania Zygmunta August mianował Hozyusza biskupem chełmińskim w r. 1549. Spieszył się Hozyusz do swojej dyecezyi, jako pasterz bardzo gorliwy; ale król kazał mu wprzód jechać w poselstwie do Karola Vgo cesarza, z powodu intryg zakonu krzyżackiego przeciw panowaniu polskiemu na Pomorzu. Hozyusz jeździł wtedy po całych Niemczech z cesarzem i był z nim aż w Brukseli. Sprawy nie załatwił, ale burzę na czas odwrócił od Polski i wiernie a szczerze usłużył ojczyźnie.

Ledwie powróciwszy z zagranicy objął swoje biskupstwo, król powołał go na wyższą katedrę. Śladem innych pasterzy, szedł i Hozyusz z Chełmna do Warmii. W Rzymie prekonizacja zapadła, na dniu 27 kwietnia 1551.

Odtąd zaczyna się szereg nieustannych, zdumiewających prac pasterskich Hozyusza. Dyecezyą swoją naucza, przekonywa, objeżdża. Chce w niej wytepić ślady nawet reformy. Najwięcej biskup pracuje w Gdańsku i w Elblągu. Szło mu tam z wielkim oporem; to też z gniewem teologów elbląskich ciągle nazywa *swoimi kozłami*.

W r. 1552 prymas Dzierzgowski wzywa go na synod prowincjonalny do Piotrkowa. Hozyusz może nie jechać tam, bo nie podlega, sam jeden z biskupów rzeczypospolitej, władzy prymasowskiej i znosi się bezpośrednio z Rzymem. Ale Hozyuszowi strach, boleść z poniżonej wiary w Polsce. Duchowieństwo narodowe chce stawić czoło reformie, chce obmyśleć środki zatamowania potoku, który się rozlał tak szeroko i grozi powodzią. Hozyusz nie namyśla się ani chwili i staje w Piotrkowie, radzi, a na wezwanie biskupów, pisze swoje znakomite wyznanie wiary, *confessio fidei*, które potem kilka razy drukują w Europie.

Ciągła, gorliwa praca apostolska Hozyusza zachwyca sławą stolicę świata katolickiego. Papież chce widzieć Hozyusza. Dziełom jego naukowym dziwi się, — jest w nich erudycja, siła rozumowania, jest potęga. Sobór trydencki zagoić może rany kościoła, potrzebny na nim będzie Hozyusz. Paweł IV powołał go tedy do Rzymu w r. 1558, nazwał *kolumną wiary*, chciał zrobić kardynałem, a gdy Paweł umarł, Pius IV posyła go w poselstwie do cesarza Ferdynanda, ażeby pozwolił na otwarcie soboru w Trydencie. W czasie téj bytności Hozyusza w Wiedniu, papież mianował go kardynałem 26 lutego 1561.

Sobór trydencki, otworzony 8 stycznia 1562, trwa prawie całe dwa lata. Hozyusz na nim prezesem, legatem papieżkim. Było kilku takich prezesów, ludzi najzacniejszych, najuczciwszych. Polsce ten zaszczyt przypadł, że jednego ze swoich synów widziała na tém wysokim dostojeniu. Król jednocześnie biskupowi i całej rodzinie Hozyuszów polskich nadaje nobilitacyą i herb w rzeczypospolitej na sejmie w Łomży; przywilej mamy oblatowany w aktach metryki koronnej w Warszawie.

Ledwie się uprosił Hozyusz, że mu pozwolono wrócić do Polski. Lata jego pracy od r. 1563—1569 są najważniejsze. Wtenczas, to z kardynałem Commendonim, to bez niego, ratuje poświęceniem się kościół w Polsce. Obalił zamachy Uchańskiego, przyczynił się do tego, że król na sejmie parczowskim przyjął uchwały trydenckie i że biskupi zaraz do egzekucyi ich przystąpili. Te lata największe są w jego życiu. Nigdy jeszcze nikt takiego wpływu na duchowieństwo nie wywierał jak Hozyusz. Wszędzie miał przyjaciół, którzy mu o każdym postępie reformy donosili. Biskupi źli obawiali się jego wpływu, schylali przed nim głowy w milczeniu; dobrzy tulili się pod jego opiekę.

W r. 1569 Zygmunt August postanowił Hozyusza wyprawić do Rzymu, w poselstwie o sprawy swoje barskie i może jeszcze o ważniejsze sprawy rzeczypospolitej. Z niechęcią przyjął to poselstwo Hozyusz, bo starzec wolał już spocząć na ojczystej ziemi. Ale

stawił się na rozkaz pański na sejm wiekopomny w Lublinie i posłuszny królowi, wyjechał, żeby już nigdy nie wrócić do Polski.

Hozyusz był wyjątkowym w epoce swojej człowiekiem; prawie żadnych wad nie miał, a posiadał wszystkie przymioty człowieka, który miał powołanie do wywierania wielkiego na swój wiek i naród wpływu. Jak zajął od razu znakomite w społeczeństwie polskiem stanowisko, tak utrzymywał się na niem z całą godnością. Rósł w dostojęństwie, w szczyty, wbrew woli własnej; ale za każdą łaską losu upokarzał się coraz więcej w duchu, i czując że większa na niego spada odpowiedzialność, podwajał siły i rósł razem wpływem, zarówno jak godnościami. Od pierwszego razu był człowiekiem przedewszystkiem powinności, a z koleją lat urósł na wielkiego męża. U nas nie możnaby nawet pojąć XVI wieku bez téj wielkiej kolumny wiary; — epoka taksamo dopełnia Hozyusza, jak Hozyusz dopełnia epokę. Dobroczyenne narzędzie w ręku Opatrzności, Hozyusz w swoim czasie być musiał.

Miał kardynał warmiński trafny i jasny rzut oka, tak iż od razu wiedział co i jak ma robić. To zawsze jest cechą wielkich zdolności. Pod tym względem zbliżał się Hozyusz wiele do króla Stefana i dlatego obadwaj tak się z sobą doskonale zgadzali w środkach działania, że jeden drugiego pewnieby się nie wyparł. Tylko takie postępowanie z reformą, jakie było króla Stefana, mogło dobre skutki wywołać i naród odrodzić w duchu katolickim. Ale Hozyusz na lat kilka, kilkanaście przed Stefanem używał téj samej polityki w pośród innych zupełnie okoliczności, w czasie publicznego jeszcze szaleństwa, a to podwaja znakomicie jego zasługę. Dwa rozumy spotkały się na jednej drodze. Kiedy Stefan obejmował berło, reakcja była już w umysłach; Hozyusz ją sprawił i bez Hozyusza nie byłoby tak łatwo postępować Batoremu po ciężkiej drodze. Król wiele korzystał z nauki jego, więc zawsze rzecz ciekawa, jak Hozyusz te pierwsze stawiał kroki.

Hozyusz był najprzód tego przekonania, że nie zrobi nic narzucaniem się, impozycyą i przemocą. Zrodzony w kraju który umiał cenić nadewszystko swoje swobody, od lat dziecinnych miał już to pojęcie, że z Polakami ówczesnymi trzeba dysputować uczynliwie, przekonywać, dowodzić i pobić na drodze rozumowej, a dopiero wtedy wszystko się uda. Wszakże sejmynasze czémże były w gruncie rzeczy, jeżeli nie wielkimi dysputami, na których jedni przekonywali drugich? Hozyusz widział to jasno, bo i jakże widzieć tego nie miał, kiedy nawet Commendoni, obcy człowiek, zmiarkował to od razu, rozpatrzywszy się bliżej w naszych stosunkach, „że w Polsce wszystko dziać się zwykło bez gwałtów i drogą przekonania.“ Ztąd Commendoni sam wyznawał, że rozkaz króla nie imponuje szlachcie. Gdyby Hozyusz nie był członkiem narodu szlacheckiego, gdyby nie był senatorem, gdyby nie przyzwyczaił się do obradowania i przekonywania innych, gdyby nie zasiadał na sejmach, przez sam takt jaki miał w postępowaniu, byłby zrozumiał, że droga przekonywania jest jedyną, po której idąc, można było skłonić umysły narodu ku temu albo owemu środkowi. Król Zygmunt August raz w chwili wynurzania się powiedział Commendoniu, (co jest na pochwałę jego i dowodzi przekonania katolickich): „ci biskupi przychodzą do kościoła na mszę i na kazanie, lecz nie wiem jakiej są wiary.“ Nie groziłoż w tém samym największe dla kościoła niebezpieczeństwo? Oczywiście katolik Hozyusz musiał działać dla katolicyzmu, musiał ratować kościół. Miałże go ratować sam jeden? Siły mu nie starczyło, potrzebował koniecznie pomocników. Pomocnikami naturalnymi którzy być mogli? Czy biskupi, o których tyle złych zachowaliśmy wspomnień? I jakże gwałtem miał się im Hozyusz narzucać? Kogo nie ujął otwartością, względami, oznakami przyjaźni, tego naturalnie ku sobie zniechęcał. Więc duch pojednania, duch pośrednictwa był w nim posunięty do najwyższego stopnia. On jeden co wniósł się ponad namiętności wieku i z każdym wychodził dobrze. W duszy nienawidził człowieka za sprawy nieczne, ale ta nienawiść równoważyła się w nim miłością chrześcijańską, pragnieniem, żeby obłąkanego nauczyć i na drogę prawdy napowrót sprowadzić. Ztąd jeżeli nie budził miłości, budził Hozyusz powszechny ku sobie szacunek. Za-

gorzali różnowiercy, ci co wiedzieli przynajmniej czego chcą i do czego dążą, nienawidzili Hozyusza, pozbyliby go się z ochotą, ale podziwiali jednak charakter jego nieskalany, nieugięty, prace jego i poświęcenie się dla dobra wiary, którą ukochał.

(Dokończenie nastąpi.)

Kronika tygodniowa.

Piękna Kalliope! przybądź mi na razie
I na wiatr rozwieź włosy twoje plove;
W niebiańskie strefy unosię się Pegazie!
Spiewam porządki domowe.

I czyliż gniew Achillea albo przybycie Eneasa do Włoch potrafi zrównoważyć wzniosłość i rozległość tego przedmiotu? Były to drobniutkie, chwilowe wypadki, dotykające zaledwie jednej cząstki społeczności, podczas kiedy porządki domowe całą ludzkość obejmują, rozszerzają się wszędzie, miasta i wsie zaległy, rozpostarły się na płaszczyznach i równinach, na piętrach i antresolach, w sklepach i pod dymnikami, wyglądają kitem przez każde okno, sypią się obmiatanym kurzem z każdego sufitu, od dźwięczają echem trzepania mebli na każdym podwórku, błyszczą ku słońcu (które teraz, nawiasem mówiąc, coraz rzadziej się pokazuje) żółtą i czerwoną farbą do zaprawiania podłóg i gromadzą niewyczerpane fundusze dla przyszłych literatów i uczonych, dostarczając papiernikom pierwszego materiału na ich fabrykat, na którym potem wiekopomne pomniki piśmiennictwa, w kształt dzisiejszej mojej kroniki, zapisywane będą.

O biedni Eneasz warszawscy! uciekajcie przed gniewem straszliwych Junon waszych, tułajcie się po lądzie i po morzu, po garkuchniach i handlach korzennych, szukajcie pociechy w nowych Kartaginach, a tylko strzeżcie się żeby w domu się nie dowiedziano o fenicyjskich pięknościach, które wam zdarzy się tam oglądać. Święty Michał, to największy wróg domowego pokoju, to patron przeprowadzań i rumacyj; przybycie jego grozi już zimą niedaleką, a chociaż od dwóch tygodni blisko już minął, wpływ jego wszędzie czuć się daje. Hejże! zdejmujcie futra z kołków, odwijajcie je z pakunków napełnionych drzazgami żywicznymi i kamforą, gromadźcie drzewo do komórek, opatrujcie wszelką szparę przez którą powietrze z zewnątrz dojdzie może. A wy znów na wsiach spiescie się z wykopaniem kartofli, bo mróz dwukrotnie zajrzał już nam w oczy, ta zaś amerykańska ochrona od głodu znacznie w tym roku podrożała, bo i ona ma swoją cholereę. Niemało pieniędzy sygnie się do kraju: znaczne partie zboża po drogich cenach zakupują za granicą, Francya zaś obniżyła cło wchodowe od napojów spirytusowych; więc wódka skoczy w górę, znajdzie bowiem spory odbył, chociaż daleko od nas.

Tém lepiej dla naszego kraju, bo wierzajcie mi, niewielka korzyść z tego, żeby ten ojczysty produkt skonsumowany został na miejscu. Niech tam sobie i Francuzi użyją, to wesół lud, a dobry humor im do twarzy. Niechże się cieszą kiedy mogą i mają za co.

I Warszawa się odnawia; ulice doprowadzone do porządku, domy oczyszczone, bruk podłatany, odświeżyliśmy się nie na żarty. Ba, nawet studnia na Długiej ulicy, odmalowana na nowo, wygląda jak świeżo z igły, chciałem mówić z hebla, a czy to nie dość na nią. Bo wy nie wiecie co to za studnia, nie znacie jej ukrytych przymiotów, wy wszyscy przechodnie obojętni, którzy w wędrówkach swoich ulicznych zimnem okiem poglądacie na nią. Ta studnia stanowi wyjątek pomiędzy innymi studniami, bo wszakże dla każdej dobrze urodzonej i porządnie wychowanej studni pierwszą zasadą jest dawać wodę, a ona wcale wody nie daje. I choć ją co rok o pewnej epoce na nowo odmalują, nic jój to nie pomaga, susza w niej jak w Saharze. Ale zawsze wygląda z wierzchu porządnie i stanowi przez to niemalą ozdobę miasta, więc wszelka przyzwoitość zachowana. O wodę zaś któżby się troszczył? wszakże na Długiej ulicy tyle jest winnych handlów, w razie ciężkiej potrzeby do nich się udać można.

A teraz opowiem wam o tryumfie jaki odnieśliśmy nad sąsiednimi narodami,

Co będzie w przyszłych wiekach świecić okazały,
Przynosząc wieczną chwałę słowiańszczyźnie całej.

I nie myślcie żeby to była płocha igraszka słów

tylko. Jest to nowy podbój Bolesława Chrobrego, dokonany na sąsiedniej nam Germanii. Sami osądzcie. Rzecz tak się ma.

Jeden z kupców tutejszych, umiejący tylko po polsku, miéwa często korespondencye z handlowymi domami zagranicznymi, zwłaszcza z niemieckimi. Zwykle korespondencye takie załatwiane bywały za pomocą tłumaczy, którzy listy ztąd idące przekładali na niemiecki język, co stanowiło niemało kłopotów, utrudnienia i kosztów. Wszystko co szło po za granice królestwa, trzeba było odrabiać po niemiecku; nawet wielkie księstwo poznańskie nie było od tego wyjątkiem.

Pewnego razu list bardzo pilny miał odejść do Poznania, i nawet czasu nie było na tłumaczenie. Spróbowano tedy list napisać po polsku, chociaż był on ekspedyowany do domu niemieckiego. I o dziwo! za kilka dni przychodzi odpowiedź po polsku. Zrozumiano wybornie interes i udzielono żądane informacje. Skoro się ta pierwsza próba udała, ponowiono ją przy ekspedyowaniu listu do Berlina, który również poszedł po polsku. Na tę posyłkę tak samo jak i na tamtą nadchodzi odpowiedź w naszym języku; trochę tam pomyłek, ale mniejszo o to, rzecz wyłuszczone jasno i dokumentnie.

Nasz kupiec, zachęcony tém powodzeniem, przesyła polską korespondencyą do Hamburga, pewnym już będąc tak samo dobrego jak i w Berlinie rezultatu. Z Hamburga odpisują wprawdzie po niemiecku, ale z zupełną znajomością rzeczy, co dowodzi że wybornie rozumiano list, jakkolwiek w naszym barbarzyńskim języku pisany.

Od tego czasu wszystkie korespondencye ze wspomnianego domu odchodzą już po polsku i tłumacz stał się całkiem niepotrzebny. Jakież z tego sens moralny? Oto ten, że Niemcy, kiedy o własny ich interes idzie, najwyborniej obce języki zrozumieć potrafią. Tak samo i z innymi narodami: Anglik, Francuz, Niemiec, kiedy pisują do Polski, nie zadają sobie wcale pracy z szukaniem tłumaczy, wiedzą dobrze że i tak będą zrozumianymi. Dlaczegoż my tylko podejmujemy trud niepotrzebny, siłąc się na pisanie obcymi językami, kiedy tego zachodu tak łatwo uniknąć. Leży w tém po części i chęć popisania się ze znajomością obcych języków. Ale wyrzadzamy tém krzywdę własnej naszej mowie, którą znać powinni ci wszyscy, którzy mają z nami interesa. Kiedy więc droga otwarta, warto korzystać z dobrego przykładu i poprawić się; ale trzeba żeby wszyscy handlujący zgodnie podali sobie ręce, a tym sposobem nie tylko sami oszczędzą sobie wiele kłopotu i wydatku, lecz nadto niejednemu z rodaków naszych podadzą sposobność godziwych korzyści, skoro cudzoziemcy, dla utrzymania z nami stosunków handlowych, zmuszeni będą wzywać pomocy Polaków, tak jak my dotąd Niemców, Francuzów i Anglików.

Gazety donosiły niedawno, że przybędzie do Warszawy wielki jakiś żarłok, który ma dawać płatne publiczne dowody swojego apetytu. Sprawa to nielada, warto poświęcić i rubla dla takiego widowiska. Ów żarłok, jeżeli mu niestrawność nie stanie na przeszkodzie, wyborne tu zrobi interesa. Alenich się strzeże współzawodnictwa: żołądek polski sławny był dawniej i teraz niemałe jeszcze pozostały tego ślady. Wspominam tylko o pewnej rodzinie w Warszawie, której każdy członek musi na urodziny zjeść tyle pirogów z mięsem, ile lat wieku liczy, i przed kilkunastu nawet dniami najstarszy z téj rodziny zjadł siedmdziesiąt sześć pirogów, zakąsił pieczenią huzarską, popił piwem i zdrowo mu było. I ty biedny żarłoku, w obec takich pamiątek, w obec tak znakomych żyjących osobistości, chcesz się u nas z twoim apetytem popisywać! Zakosztujno tylko bigosu polskiego, flaków po starodawnemu robionych, kołdunów litewskich i zrazów zawieszonych naszych, a ręczę że ciężko ci będzie dawać potem jeszcze przedstawienia. To, mój dobrodzieju, nie niemiecka kuchnia, na której muchy nawet chudną.

Nie dla autora reklamacyi umieszczonej w 262 nr. Gazety Warszawskiej, której sposób pisania uwalnia mnie od wszelkiej odpowiedzi, ale dla czytelników Tygodnika donieść winienem, że wspomniany przezemnie karbowy Bacciarelli, mieszka we wsi Rokotowie, o pół mili od Sochaczewa, że posiada papiery udowadniające jego pochodzenie, i że papiery te na

żądanie mogą być pokazane każdemu kto ciekawy. Nie jego jest winą że w podrzędnym stanowisku uczciwą pracą musi zarabiać na życie, a za zasługę mu policzyć można, że nie chce być ciężarem innym. Żadne obowiązki nie krzywdzą, byleby sumiennie wykonywane były, a jeżeli artykuł nasz, do którego zamieszczenia przez osobę interesowaną w tém byliśmy upoważnieni, wpłynie na polepszenie losu wnuka znakomitego malarza, będzie to dla nas niemałą pociechą, a zarazem odpowiedzią na wszelkie zarzuty, których treści ani powodu pojąć nie umiemy.

Winniśmy przytém zwrócić uwagę na jeden dziwny zwyczaj, od pewnego czasu zakradający się u nas. Słusznie czy niesłusznie, namnożyło się w tych czasach reklamacyi po gazetach, drażliwość publiczna do najwyższego podniesienia jest stopnia, najogólniejsze dotknięcie jakiejś kwestyi, wywołuje mnóstwo odpowiedzi od osób zupełnie piszącemu nieznanych i wcale przez niego niezaczepianych. A w każdej takiej odpowiedzi wychodzą zaraz na jaw osobiste przyczepki; nie idzie tu o zabicie wypowiedzianego zdania, ale o wywarcie nieuzasadnionego gniewu na tego, który je wygłosił. Dziennikarz nie może być zbiorem doskonałości, tak jak każdemu innemu pomylić mu się wolno, a dobrze jeżeli wówczas pomyłka przez kogoś lepiej zawiadomionego sprostowaną zostanie. Jest to nawet pewnym rodzajem publicznego obowiązku; ale po cóż w takim razie udawać się do osobistości i rozpoczynać polemikę, nudną dla czytelników, a uwłaczającą pismom w których jest zamieszczoną? Tém bardziej to naganne, jeżeli sprostowanie nie jest oparte na żadnych pewnych zasadach i staje się tylko zaprzeczeniem prawdziwego twierdzenia. Pojmujemy że ktoś zaczepiony sroży się i odpowiada; ale dlaczego taki, którego nie myślano nigdy zaczepiać, bierze na siebie zgryźliwy zoilowski obowiązek, tego już pojąć nie możemy. Nic łatwiejszego, zwłaszcza dla przywykłego do władania piórem, jak odpowiedzieć jeszcze złośliwiej, ale jakież tego skutki? Oto że ludzie, którzy może wcale się z sobą nie znają, którzy nie mieli powodu żadnej do siebie złości, będą w otwartej nieprzyjaźni, i to dla marnej chęci wypowiedzenia publicznie kilku niezawsze dobrze brzmiących frazesów. W dawnych czasach osobistości lepiej u nas szanowane były, i z osłabieniem dopiero tego wrodzonego w nas uczucia począł się nasz upadek. Zresztą dla wszystkich piszących istnieją pewne prawa, których bezkarnie przekraczać nie mogą; trzeba więc mieć na nie wzgląd i szanować trudne to powołanie, które, jak wiadomo, niezawsze u nas różami jest usłane. Redakcyje gazet, w swoim własnym interesie, powinnyby na to zwrócić uwagę.

Słyszeliśmy że Święcki pracuje w Paryżu nad grupą w małym formacie, którą ma nawet tamże oddać na wystawę sztuk pięknych. Chwalono nam bardzo szkic do téj grupy. Pobyt za granicą zbawienny zapewne wpływ wywrze na talent naszego artysty, talent już uznany, któremu tylko brakło obznajmienia się z arcydziełami europejskimi i korzystania z dobrych wzorów. Kto miał sposobność oglądać w fabryce pana Mintra brązowy medal, wyobrażający w płaskorzeźbie głowę księcia Józefa, jako obocznik (pendant) do głowy generała Kościuszki przez Dawida wykonanej, odlew do którego model zrobił pan Święcki, ten pewnie podzieli nasze zdanie. Z innych prac pana Święckiego godne są także uwagi medale wszystkich królów polskich, z których siedm wykonanych zostało podług ciągu medalów odbitych w mennicy warszawskiej, a modelowanych przez Holhausera i następcę jego Reichla. Wszystkich było 23, bo Stanisław August, przez skromność, kazał siebie opuścić, a medale te, wykonane podług wzorów branych głównie ze znanych portretów Bacciarrellego, stanowią dziś niezmierną rzadkość. Pan Minter, dostawszycich siedm w posiadanie, zamówił resztę u Święckiego, który wybornie przejąwszy się stylem zeszłego wieku, dopełnił całej kolekcyi, nie wyjmując nawet Stanisława Augusta, którego medal może do najlepszych należy.

Widzieliśmy również w fabryce pana Mintra cztery tablice, mające być wprawione do podstawy posągu ks. Kordeckiego w Częstochowie. Na tablicach z dwóch bocznych i tylnej strony posągu znajdują się brązowe wieńce z lilij i wawrzynów, ze stosownymi u spodu napisami, które wraz z napisem na przedniej tablicy zamieszczonym jeden ciąg stanowią.

Na téj przedniej tablicy wyrzeźbiony jest, również z brązu, nad napisem, posąg Najświętszej Panny jasnogórskiej, bardzo pięknie modelowany. Sliczna to ozdoba dla posągu. Korzystamy z téj sposobności, żeby donieść że pan Stattler zamierza podobno stale osiedlić się w Warszawie.

Ciekawy list otrzymaliśmy w téj chwili z zagranicy. W liście tym donoszą nam szczegółowo o niektórych wydatkach rodaków, a raczej rodaczek naszych w Paryżu. I tak: pewna pani za oczyszczenie, zaplombowanie i odemaliowanie własnych swoich zębów zapłaciła 100 rs. Fakt to niezaprzeczony, przekonywa o tém rachunek dentysty paryżkiego, którego kopią otrzymaliśmy. Ale co gorsza, odczyszczone zęby téj pani tak się podobały innej turystce naszej, że poszła do tegoż samego dentysty i zażądała od niego podobnej operacyi. Nieszczęściem jednak miała tylko 50 rs. do dyspozycyi. I wystawcie sobie, nieuproszony dentysta odczyścił jej tylko połowę zębów, drugą zaś połowę zostawił w dawnym stanie. Łatwo pojąć rozpacz naszej damy, która na gwałt musiała pożyczać pieniędzy, żeby uchronić się od tego nowego rodzaju światłocienia w ustach. Jako sens moralny tego wszystkiego dodam, że za taką samą operacyą Francuzki płacą zwykle po 50 franków, ale rodaczki nasze, niewiedomo dlaczego, tak Rotszyldowskie stanowisko wyrobiły sobie w Paryżu, że dentysta nie powstydział się żądać od nich ośmkróć wyższej summy.

ANDRZEJ NIEGOLEWSKI

NA SZCZYCIE WĄWOZU SAMO-SIERRA.

W zwyciężkim pochodzie do Madrytu Napoleona I, stanęły na przeszkodzie warowne wąwozy *Samo-Sierra*. Rozległe pasmo zewsząd niedostępnych gór, nigdzie podobieństwa przejścia nie zostawiało: jedna tylko droga, na ośm lub dziesięć łokci szeroka, wciskała się i wykręcała między górami, idąc coraz wyżej ku ich wierzchołkom. Wojsko hiszpańskie, z 14 tysięcy żołnierzy złożone, góry te i wąwozy obsadziło. Na każdym załomku drogi ustawiono piętrami po cztery armaty; wzgórek zaś, który przy wyjściu z wąwozów nad niemi panował, ośmiądzielnymi obwarowany został. Tak obronne naturą i sztuką położenie, zdawało się być nieprzystępnym: przypuszczać albowiem trudno było, żeby konnica mogła się zapędzić w podobną dla niej zgubną otchłań, gdzie oprócz ognia armatniego, piechota z obu stron wąwozów ustawiona, zewsząd zasłonięta, celnymi strzałami karabinowemi wszystko zmiatać mogła. Z téj to przyczyny żadnych Hiszpanie przeciw napadowi jazdy nie zrobili przygotowań.

Było to dnia 30 listopada 1808 r., poranek był mglisty i zimny. Napoleon przed wschodem słońca wyjechał ze swego stanowiska, część korpusu wysłał dla okrążenia wąwozów, sam zaś zbliżył się pod góry, mając przed sobą tylko trzeci szwadron z pułku *lekkokonných* gwardyi, samych Polaków. Była to właśnie chwila, kiedy francuzka piechota, wystawiona na podwójny ogień artyleryi i piechoty hiszpańskiej, napróżno usiłowała wdrzeć się na górę i gesto trupami padała. Wtedy cesarz przywołał marszałka Berthier i wydał mu rozkaz, aby dla wzięcia armat wysłał ów szwadron polski na służbie będący. Berthier, zadziwiony tym rozkazem, pierwszy raz ośmielił się zwrócić uwagę Napoleona, że to było niepodobnym. Cesarz spojrzawszy nań bystro, zmierzył go przenikającym wzrokiem i odrzekł: „Zostaw to Polakom i rób swoje“. Wtedy marszałek przybiegł do trzeciego szwadronu lekkokonných, pod dowództwem podpułkownika Kozietulskiego, który stał bezpieczny pod załomem skalistej góry, i rzekł: „Cesarz wam powierza zdobycie téj pozycyi, pewni że ją weźmiecie. Wiem że dla was będzie to igraszka.“

Kozietulski, który był niesłychanie odważny i przepadał za niepodobnymi do prawdy zwycięstwami, wystąpił naprzód jako szef szwadronu i krzyknął: „formuj się w czwórki!“ Miejsce bowiem nie dozwalała szerzej się rozwinąć.

Wysłał na czoło znanego sobie z odwagi i zaciętości porucznika Krzyżanowskiego, z czterema lekkokonnymi, i puścił się w wąwóz z tą bystrością i lotnością, która działaniom tego pułku zawsze towarzyszyła. Huknęły mordercze strzały armatni ręcznej

broni. Waleczny Krzyżanowski z żołnierzami swemi pada trupem. Kozietulski uderza na baterie i dwańście dział zdobywa. Na tych bateriach rozpoczyna się ręczna walka z artylerzystami hiszpańskimi. Porucznik *Andrzej Niegolewski*, który z wachmistrzem Sokołowskim na sam szczyt góry do czwartej dotarł baterii, otrzymał dziewięć ran bagnetem i na zdobytych armatach za niezwygłego był zostawiony.

Kozietulski, bohater dnia tego, mając pod sobą konia zabitego, silną otrzymawszy kontuzję, zdał dowództwo kapitanowi *Dziewanowskiemu*. Dzielny ten oficer zbiera natychmiast rozbiegłych żołnierzy, uderza i ostatnią zdobywa baterię; ale sam pada ofiarą swego męstwa, otrzymawszy śmiertelne rany. Porucznicy: *Rudowski i Rowicki* polegli; kapitan *Piotr Krasieński* kartaczem niebezpiecznie ugodzonym został.

Zgromadzili garstkę pozostałych wojowników porucznik *Szeptycki* i wachmistrz *Zielonka*, gdy nadjechał Tomasz Łubieński, a wzmocniony świeżym plutonem pod dowództwem porucznika *Roztworowskiego* i plutonem szaserów gwardii konnej, uderzył na opierających się jeszcze Hiszpanów. Klęska ich była zupełną; straszne wawozy *Samo-Sierra* zdobyto.

Szeptycki porucznik, wysłany z oznajmieniem o tym zwycięstwie do pułkownika dowódcy lekkokonných, Wincentego hr.

Krasieńskiego, z zadziwieniem spostrzegł cesarza na pół drogi, nie poprzedzonego żadnym oddziałem wojska, jadącego stępo. Generałowie Savary i Durosnel, o kilkadziesiąt kroków przed nim będący, uprzedzili Szeptyckiego o wielkim zadowoleniu Napoleona. W rzeczy samej znalazł go w najlepszym humorze; kazał mu oświadczyć szwadronowi lekko-konných,

że są warci być jego gwardyą, powtarzając kilkakrotnie widocznym ukontentowaniem: „Vous êtes des braves polonais.“

Drzeworyt który podajemy przedstawia chwilę, kiedy cesarz Napoleon na szczycie wawozu *Samo-Sierra*, ujrzawszy na obalonęj lawecie zdobytej armaty leżącego *Andrzeja Niegolewskiego*, którego



CESARZ NAPOLEON I. PRZYPINA NIEGOLEWSKIEMU KRZYŻ LEGII HONOROWEJ.

otrzeźwiono z omdlenia, zbliża się do niego i przypina mu krzyż legii honorowej. Dzielny wojownik, ciężko ranny, osłabiony krwi upływem, podtrzymywany przez towarzysza broni, wlepił łzawe spojrzenie w cesarza, bo niem tylko mógł mu okazać wdzięczność swoje; ręce omdlałe nie podołały nawet sięgnąć po znak zasłużony.

K. Wł. W.

PAŁAC BISKUPÓW W PUŁTUSKU.

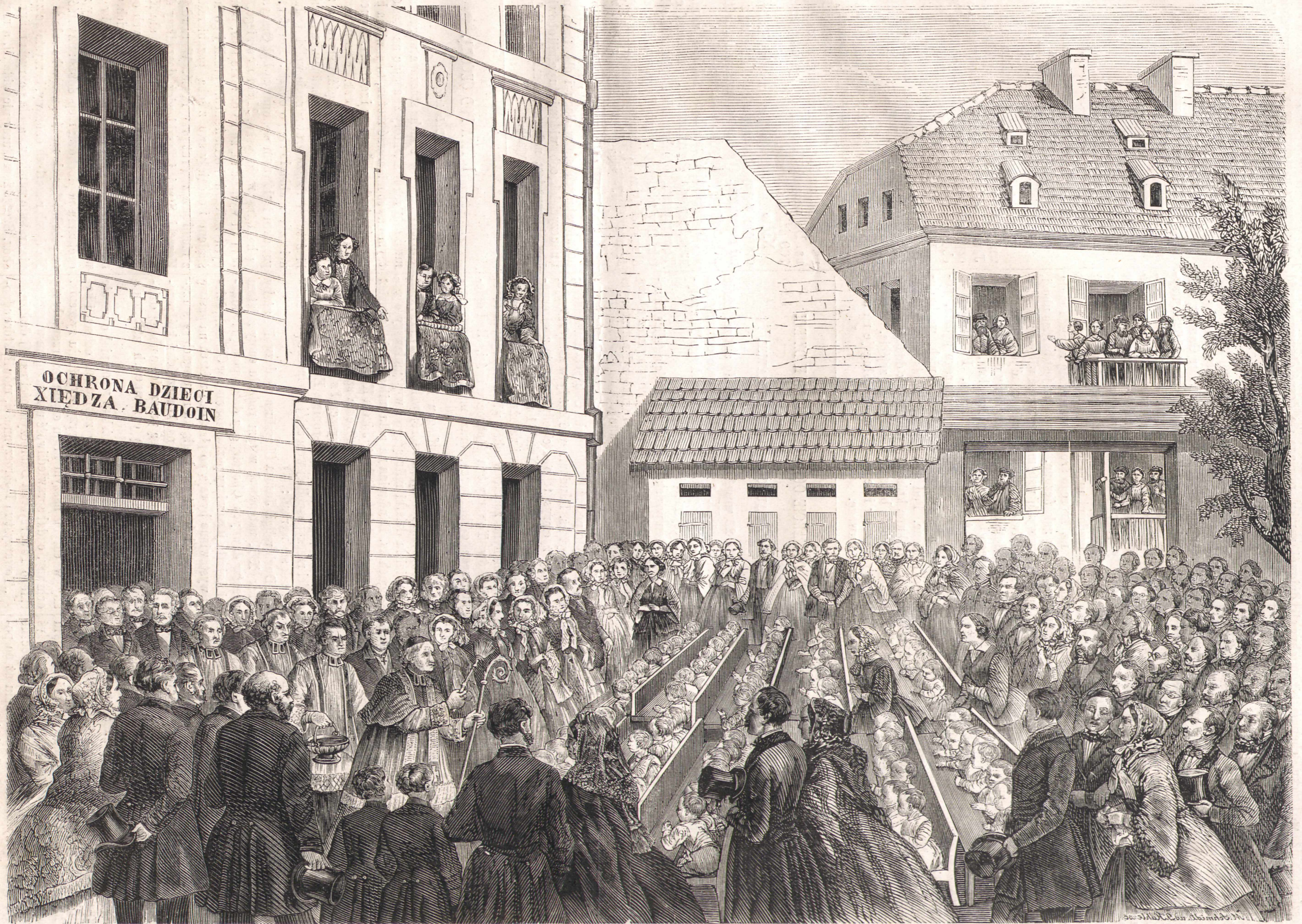
Kiedy na starém Mazowszu Kaźmirz Odnowiciel ustalił pierwsze biskupstwo, (które, nim tytuł płockiego przyjęło, mazowieckim się nazywało), podobno już wtedy otrzymało ono w uposażeniu dobra pułtuskie, czyli kasztelanią i zamek, w którym przedtem sami książęta mieszkali. Biskupi bowiem tutejsi zdawna mieli wyższe od innych stanowisko, posiadając całą tę okolicę na własność, książęciem udzielnym prawem nadaną. Ztąd też zasiadali nieraz na katedrze płockiej synowie książąt mazowieckich, wielcy panowie, a nawet królewicze. Jak widzimy, zamek w Pułtuskach bardzo odległej sięga starożytności; wspominają też o nim dyplomata Konrada I, księcia mazowieckiego, z r. 1227, a miasto występuje w historii w r. 1279, z okoliczności zaboru przez mieszczan tutejszych spławianego Narwią zboża, które książę włodzimirski posyłał Jadzwinom i o co była nawet wojna pomiędzy nim a Konradem.

Pierwszym atoli z biskupów płockich, który stale zamieszkał w zamku pułtuskim, jako w środku diecezji położonym, był Floryan Łaskary z Kościelca od r. 1318—1334 biskupstwem rządzący. Miał on zamek zupełnie przebudować, a nawet, według podania, nowy na miejscu dawniejszego w r. 1319 wystawił. Musiał on być waro-

wnym, kiedy Litwini w roku 1368 pod dowództwem Kiejstuta, mając w podejrzeniu Mikołaja z Gulczewa, biskupa płockiego, następcę Janisława Wronskiego, że namówił Krzyżaków do napadu na Litwę, zburzyli Pułtusk, a nie mogąc dobyć zamku, otoczyli go stosami pozostałych od zgorzeliska miejskiego niedopałków, przez co wzniecony ogień potra-



PAŁAC BISKUPÓW W PUŁTUSKU.



OTWARCIE OCHRONY UBOGICH DZIECI POD NAZWĄ KSIĘDZA BAUDOINA W WARSZAWIE. (Rysował J. Lewicki.)

skął mury i zniszczył go zupełnie. Wkrótce atoli odbudowany, odtąd był ulubionym siedliskiem pasterzy płockich, którzy mając tu wspanialsze i wygodniejsze mieszkanie niż w Płocku, chętniej też przebywali w mieście, w którym rządili jak książęta, kiedy tam byli tylko biskupami. Tu więc mieszkali pomiędzy innymi: do r. 1425 Jakub Syrokomla Kurdwanowski, mąż jeden z najczcześniejszych w swoim wieku, doktor prawa w akademii bonońskiej; dalej od roku 1481 Piotr z Chodkowa, doktor i professor filozofii w tejże akademii, gdzie za pierwszego jej mistrza był uważany. W nim umarł 1463 biskup Paweł Giżycki, który przez lat ośm rządził całym Mazowszem w imieniu małoletnich książąt po zgonie Bolesława IVgo i Władysława Igo, z ogólnym wszystkich zadowoleniem. Wreszcie i sławny Erazm Ciołek, który w r. 1518 wysłany przez Zygmunta Igo na sejm niemiecki dla obrania nowego cesarza po śmierci Maksymiliana Igo, wyrobił u niego dla tutejszych biskupów tytuł książąt pułtuskich, a dla proboszczów katedralnych książąt sieluńskich i t. d.

Rozprzestrzeniał i ozdabiał zamek pułtusi następca, jako to: Rafał Leszczyński od roku 1524, przez lat trzy biskup płocki, część domował, a jego następca Jędrzej Krzycki, znakomity poeta łaciński i mówca, przyozdobił; Jędrzej Noskowski wspaniałe go odnowił; Piotr Myszkowski, przyjaciel i mecenas uczonych, znaczną część murów wyrestaurował, a Marcin Szyszkowski prawie go z ruiny w roku 1608 odbudował, przymurowawszy nadto wielkie szkarpy dotąd gmach podpierające. Henryk Firlej w r. 1618 objąwszy rządy biskupstwa, most na arkadach od rynku aż do pałacu wzniesiony, znacznym kosztem wystawił. Po pierwszej atoli wojnie szwedzkiej przed rokiem 1655 zostały po nim tylko ruiny, jak o tym przekonać się można z ryciny pod Nr. 55 w znanym dziele Puffendorfa *De rebus a Carolo Gustavo Sueciae Rege gestis*. I znowu odbudowany, był ciągle przerabiany i reparowany przez często zmieniających się biskupów, aż do rządów trzech Załuskich, z kolei po sobie na katedrze płockiej zasiadających, którzy musieli także około niego budować, gdyż dotąd herby ich na gmachu się znajdują. Głównie atoli dźwignął zamek pułtusi Michał książę Poniatowski, później arcybiskup gnieźnieński i prymas rzeczypospolitej, oraz dwaj Szembekowie, a mianowicie Krzysztof, biskup geolog, który w r. 1784 objąwszy rządy diecezji, gmach ten podług swego planu i gustu przerobił, część zamku od strony rzeki z fundamentów wystawił, pokoje wewnątrz i sale urządził, i wiele w nim ulepszeń poczynił, słowem gmach ów starożytny wielkim nakładem do świetnego przyprowadził stanu.

Wojny w latach 1806 i 1812 i umieszczenie w tym zamku szpitalu wojskowego, na który to użytek do r. 1818 był zajęty, stały się znowu przyczyną jego zniszczenia, po którym rząd na nowo go do mieszkalnego stanu przyprowadzić kazał, przeznaczając na mieszkanie dla ówczesnego biskupa Adama Prażmowskiego, zmarłego w roku 1836. Restauracja, podług planu budowniczego Antoniego Piotrowskiego, skończyła się w r. 1825. Wszystkie wówczas ściany zewnętrzne i wewnętrzne były odnowione, pokoje górne i dolne zreparowane, malowaniami odpowiednimi miejscu ozdobione, zgoła najmniejsze szczegóły w tym zamku albo przebudowane, lub też nowo wystawione zostały; kuchnie, pompa, tama urządzone, oficyny zrestaurowane, a ogród, po wyporządzeniu w nim oranżeryi, do najlepszego stanu był przyprowadzony. Zniszczył wprawdzie nieco tę budowlę pożar w roku 1841, lecz staraniem ostatniego biskupa Franciszka a Paulo Pawłowskiego, zmarłego w r. 1852, uszkodzenia te zostały naprawione.

Zamek pułtusi, czyli pałac rezydencyjny biskupów płockich, stoi nad samym korytem rzeki Narwi, na górze umyślnie sypanej, sześć sążni wysokości, a objętości naokół 608 łokci mającej. Jest to gmach dosyć obszerny, zabudowany w półkiszycę od strony północnej i zachodniej wzgórza. Składając się z różnoczesnych zlepków, nie ma ani kształtu foremnego, ani jednostajności w stylu budowniczym. Bramy wjazdowej, do której niegdyś most zwodzony prowadził, strzegły duże osmioboczne baszty, które przy ostatnim odnawianiu aż po poziom drogi zrównano, i na nich chińskie altanki zbudowano. Od strony wschodniej bronila przystępu do tej małej warowni rzeka; od innych stron umyślny przekop, dziś w dosyć piękny ogród zamieniony. Nad

bramą wjazdową umieszczony jest herb Szembeków w biskupie przybrany godła. Wewnątrz pokoje liczne, ale ubogo przybrane. Na dole od strony południowej zamku rozciąga się dosyć obszerny ogród, przez biskupa Henryka Firleja w roku 1618 murem opasany, z figarnią przez biskupa Józefa Eustachego Szembeka założoną.

Do zamku należy kaplica, a raczej kościółek św. Maryi Magdaleny, już po za przekopem zbudowany, którego założycielem jest sławny Piotr Gamrat, w r. 1538 biskup płocki. Odnowiono go w r. 1623, przy czym powtórną erekcją od biskupa Firleja otrzymał. W późniejszych czasach restaurował go jeszcze biskup Szembek, który przeniósł do niego z zamku portrety płockich biskupów od początku założenia malowanych i takowe na ścianie pod sufitem w okół dwoma rzędami umieścił. Kościółek ten ma kształt krzyża, na którego środku wznosi się rotunda małą wieżyczką zakończona. Wewnątrz jest bardzo ubogi, a portrety wyżej wspomniane tak od wilgoci niszczały, że zaledwie rysy postaci rozpoznać jeszcze można. Jest ich dotąd jeszcze 74, zaczawszy od mniemanego pierwszego biskupa płockiego Angelota, aż do przedostatniego Adama Prażmowskiego. Pod względem sztuki dawniejsze portrety są grubszego pędzla, późniejsze, a szczególnie niektóre z nich, wcale dobrze robione. Pod każdym jest napis imienia i nazwiska biskupa którego wyobraża, z dodaniem roku wstępu jego na biskupstwo płockie i zejścia. Zawsze piękny to zbiór i ze wszech miar zasługuje na uszanowanie i uwagę.

OTWARCIE OCHRONY UBOGICH DZIECI

pod nazwą

Ks. BAUDOUINA W WARSZAWIE.

W dniu 23 września r. b. odbył się akt założenia i poświęcenia IX z kolei w Warszawie ochrony dla ubogich dzieci, pod opieką warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności zostających.

Zakład ten powstał na Starém mieście (ulica Brzozowa Nr. 200) i jako w dzielnicy miasta przez ubogą klasę ludności zamieszkałej, bardzo był potrzebnym i pożądanym.

Towarzystwo Dobroczynności ochronkę pomienioną założyło pod nazwiskiem ks. Gabryela Baudouina; kto zaś był ks. Baudouin, wie każdy w naszym kraju; zresztą życiorys tego czcigodnego męża z wizerunkiem podaliśmy już w Nrze 31 naszego pisma.

Akt cały poświęcenia i założenia zakładu solennie dopełnionym został w obec wielu dostojnych osób, członków Towarzystwa Dobroczynności, Rad opiekunich cyrkulowych, oraz mnóstwa zgromadzonych widzów.

J. w. ksiądz biskup sufragan Dekert piękną akt ten rozpoczął mową, w której wskazawszy przykład Zbawiciela dziatki miłującego i wspomniawszy o zasługach ks. Baudouina na polu miłosierdzia, tudzież jego poprzedników, jak śś. Józefa Kalasantego, założyciela w Hiszpanii zgromadzenia szkół ubogich Maryi, które sam zamiatał, oczyszczał z brudu, a dziatki karmił i nauczał; dalej Hieronima Emiliana z posiadłości rzeczypospolitej weneckiej i Wincentego a Paulo, tak się wyraził:

„Duch religii Jezusa Chrystusa nie dozwolił, ażeby wiek XIX ustępował w tym rodzaju cnoty zaletom czasów dawnych. Obecnie, gdy dotąd pomiędzy ludami światła jego wiary pozbawionemi, w Chinach, dzieci wystawiane bywają po placach i ulicach na pastwę zwierząt, lub też jak bydłatka na targach są sprzedawane, we Francji bracia nauki chrześcijańskiej spełniają swe szkoły zbiieraną przez siebie ubogą dziatwą, a siostry miłosierdzia ogromne ich utrzymują zakłady.“

Po tych słowach j. w. biskup wpomniał o zapale obudzonem w Europie do zakładania ochron i koryści z tych zakładów, a przy wyrażeniu życzenia, aby w całym naszym kraju ciągle rozkrzewiały się ochrony, oddał sprawiedliwość usiłowaniom warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności na tej drodze.

„Towarzystwo Dobroczynności, mówił, które odpowiednio wniosłem swemu powołaniu pragnie według swjej możliwości kość wszelkie cierpienia ludzkości, pierwszą w tym mieście założyło ochronę.“

Przystąpił następnie j. w. ks. biskup, w assysten-

cyi innych kapłanów, do poświęcenia zakładu, poczem dziatki, przy towarzyszeniu melodykonu, na nutę pieśni Karpińskiego „Kiedy ranne wstają zorze,“ odśpiewały następujący wiersz, umyślnie do okoliczności napisany przez członka war. Tow. Dobroczynności Karola Kucza:

Pod imieniem męża cnoty,
Co z poświęceń szukał sławy,
Staje znowu dla sieroty
Ten przytułek wśród Warszawy.

Bóg, co wdzięczne słyszy śpiewy,
Dla was, ludzie dobrej woli,
W plon zamieni wasze siewy,
Błogosławiąc waszej doli.

Już sierota lez nie roni,
Już nie poda skargi Bogu,
Odkąd z waszej hojnej dłoni
Ma schronienie w cichym proggu.

Niech więc słynie ta ochrona
Pod imieniem męża cnoty,
Który najpierw sam do łona
Tulił dziatki i sieroty.

Następnie wice-prezes wydziału sierot, b. pułkownik Fiszer, zainstalował na opiekuna ochrony w. Jana Gautier (syna) i przedstawiwszy mu na dozorczynią zakładu panią Zofię Rutkowską, wskazał jej obowiązki jakie spełniać powinna.

W końcu protokół całej ceremonii odczytał główny sekretarz Towarzystwa, obecni zaś podpisali go, jak niemniej książkę wizyt, na czem akt ukończonym został.

Tak tedy mamy już dziewięć ochron w Warszawie: na Nowém mieście, na ulicy Ogrodowej, Pańskiej, Czerniakowskiej, Żurawiej, (wzorowa), Browarnej, na Pradze, na Nowolipkach i dzisiejsza ks. Baudouina. Do wszystkich tych ochron uczęszcza przeszło 700 dzieci dziennie.

Nadto niezadługo Towarzystwo Dobroczynności otworzy nową, dziesiątą z kolei ochronę za Wolskimi rogatkami. O czem wspomniawszy, krótki ten opis zakończamy słowy jw. biskupa:

„Błogosławięństwo Boże i dzięki wam, dostojni protektorowie i protektorki, przezacni członkowie Towarzystwa, opiekunowie i opiekunki ochron dziatek. Oby to ziarno w imię Boga w to miejsce rzucone, długo obfitym radowało nas plonem; oby te słowa Jezusa Chrystusa: *kto jednego z tych maluczkich przyjmuje, mnie przyjmuje*, mnożyły dla tych zakładów hojnych dobroczyńców, gorliwych opiekunów, poświęcających się w Bogu i dla Boga nauczycieli i nauczycielek, coby widomie tu pełnili obowiązek aniołów, którym jest nakazanem strzedz téj dziatwy we wszystkich jej drogach.“

BITWA POD CECORĄ.

(Dokończenie.)

Kiedy bitwa w takich stoczona warunkach mogła mieć taki rezultat, który zważając na stosunek, świętym nawet mianować można, to powinna była dodać pewnej otuchy walczącym i zaufania. Tymczasem wywarła ona przeciwny skutek. Nazajutrz po bitwie wszczęły się szemrania; część wodzów, a zwłaszcza mniej przychylnych Żółkiewskiemu, uznała niepodobnym dalsze prowadzenie walki i głuche hasło ucieczki rozbiegło się po obozie. Koryfeuszem tego projektu i głównym wykonawcą był Gracyan ze swoją hałastrą mołdawska. Mniejsza o niego, ale jakże nam tu wyrazić to, że i wodzowie nasi, pomimo usilnych nalegań hetmańskich, poszli jego haniebnym śladem i oddziały swe z sobą pozabierali, a Y^{sz} z nimi przez Prut przeprowić. Wprawdzie amiel Korecki, Struś i Tyszkiewicz, doszedłszy do połowy rzeki, cofnęli się i wrócili do obozu, ale Kałowski utonął w Prucie z mnóstwem niegodnych odstępców; ci co przeszli, poginęli od strzał tatarskich, a Gracyan na drugiej stronie Prutu przez Wołochów zamordowany. Czynił co mógł Koniecpolski, aby zapobiedz ogólnemu popłochowi; niepodobna: na wieść o ucieczce przedniejszych mężów, wszystko szło w rozsypkę. Na domiar motłoch obozowy, korzystając z zamieszania, rabuje namioty, a dla pokrycia rabunku zapala obóz. Szczęściem Turcy nie widzieli, a raczej nie rozumeli tego zamieszania, wytłumaczyli je sobie owszem w przeciwnym sensie: sądzili że to przychodzi jakaś niespodziewana odsiecz, na powitanie której Polacy zapalają ogień; inaczej dziś już byłoby po

wszystkiem, chociaż i tak zguba nie na długo się odwleka. Korzystali z tej pomyłki Turków: Stefan Chmielecki i Odrzywolski, i w kilkaset koni szczęśliwie uszli z polskiego obozu za Prut. Nie miała granic boleść sędziwego hetmana, kiedy nazajutrz niedoliczył się połowy wojska. To co nie ruszyło się z obozu poczuciem obowiązku i to co udało się Koniecpolskiemu z pod Prutu napędzić prośbą czy groźbą, wynosiło zaledwie 4,000. Reszta albo poległa z chwałą w sobotniej bitwie, albo sromotnie zginęła we wczorajszym popłochu, wzniesionym bez żadnej przyczyny. Cóż było robić? Czekać chyba na posiłki i traktować dla zyskania na czasie, ukrywając jaknajstaranniej szczupłość sił, aby nieprzyjaciela nie ośmielić. Przepędził więc hetman w ten sposób jeszcze ośm dni; miesiąc tedy znajdował się już na mołdawskiej ziemi, król i Rzeczpospolita wiedzieli doskonale o jego położeniu i nie wsparli go ani jednym żołnierzem. Pocziwa tylko małżonka, przy spóźnieaniu bratanka, Tomasza Zamojskiego, z całą energią czyniła zabiegi o nowe zaciągi; ale te nie szły pospiesznie, a kiedy nareszcie stanęły gotowe, wtedy już było za późno. Hetman, widząc że się niczego pod Cecorą nie doczeka, postanowił ruszyć obóz, a przyszedłszy tu w celu odzyskania zwierzchnictwa nad obcą prowincją, teraz myślał tylko o tém, jakby tę garstkę powierzonego sobie wojska ojczyźnie powrócić. Przez ten czas energia i rezygnacja wodza udzieliła się wojsku: postawa jego zapowiadała niezłomną chęć utrzymania dawniej sławy rycerskiej, w obec niebezpieczeństwa, któremu równego trudno napotkać w dziejach kampanij wszystkich ludów całego świata. Należało po wyjściu z obozu przedelflować w obec nieprzyjaciela liczniejszego prawie dwadzieścia razy, stąpać po ziemi grząskiej, poprzerzynanej błotami i mnóstwem rzeczułek, lub wśród spiekoty i kurzu wzniesionego to ze spalonych traw, to z pod kopyt końskich, a tej drogi do granic ojczystych było dwadzieścia mil. Kierując się ku Mohilewowi nad Dniestrem, hetman wielki wyruszył z obozu w sam dzień Śgo Michała taborem otoczonym piechotą, we wnętrzu swém mieszczącym konnicę i artylerją. Z pozycyna pozycją postępowała ta dziwna armia, istne widziadło jakby nie z tego świata, postępowała wolno i w największym porządku, bez snu i wytchnienia, dniem i nocą, opędzając się co chwila szybującym koło niej na wszystkie strony sępom tatarskim; cała siła jej spoczywała w jedności poruszeń i porządku, owa to jedność była duszą tej armii, bez niej stawała się ona ciałem umarłym, do którego sęp pogański wolny znajdował przystęp; najmniejsze zwichnienie kolumny groziło niechybną zagładą. Tym sposobem po tygodniowym marszu, to rokując z bisurmanem, który coraz trudniejszym do układów się stawał, to armatą dziurawiaczyki jego, te kilka tysięcy ludzi, pod ciągłą eskortą Iskintera baszy i jego sprzymierzeńców, stanęło już tylko o dwie mile od Dniestru; już wieżyce Mohilewa zabłyśły im znakiem nadziei, pozostawało przebyć tylko Dniestr, a sława tego odwrotu zajęłaby najpiękniejszą w dziejach bohaterskich kartę. Bóg inaczej zrzucił. Po tylu dniach znoju, głodu, wszelakiego utrudzenia, były to raczej szkielety niż ludzie, a tu trzeba było teraz nadludzkiego właśnie wysilenia, aby stanąć u kresu, bo przeprawa przez Dniestr wymagała całej przytomności i odwagi, w obec wściekłości wroga, rozżartego widokiem wymykającej mu się ostatecznie zdobyczy.

Ostatni ten przystanek zdarzył się w nocy z 6 na 7 października 1620 r. W tymże samym dniu Żółkiewski otrzymał od żony list z pociechą i nadzieją odsieczy, w tym też dniu odpisał jej, oznajmiając w jakim znajduje się położeniu, a mianowicie że gotuje się do ostatniej z nieprzyjacielem walki, która ma otworzyć mu przejście do ojczyzny, albo też do życia wiecznego. Są to ostatnie wyrazy jakie skreśliła ta czysta ręka rycerska, uświęcona zasługą; listu tego nie można czytać bez wzruszenia, tyle tam w tych prostych do małżonki wyrazach jest obywatelskiego i chrześcijańskiego uczucia, tak tam rzewnie przemawia ojciec, mąż i obywatel, słowami w których brzmi przecucie chwili spełnienia do dna ofiary dla tego kraju, co był największą jego miłością na ziemi. Pisząc ten list, Żółkiewski nie wiedział widać jeszcze co się święci w jego obozie; a tymczasem wojsko, podniecone bliskością rodzinną ziemi, dało się opanować jakimś chorobliwym złudzeniem bezpieczeństwa; jedni żądali spoczynku, drugim zdawało się że można

pojedynczemi oddziałami przebyć tak krótką przestrzeń i dostać się za Dniestr. Od słowa do słowa przyszło do otwartego buntu; daremnie wodzowie upominali, przywołując przykład podobny nad Prutem: żołnierstwo zaczęło się rozlać, a hałastrą rabować, gdy tymczasem nieprzyjacieli podstępował coraz bliżej pod tabor. Nagle rozległ się tentent jazdy; to Lisowczyki wracający z pomyślną wycieczką; a żołnierstwo wzięło ich za Tatarów i już ze strachu łamać do reszty porządek obozowy, niepomme na świeże doświadczenie, czego dokazała jedność i karność. Kiedy to się dzieje, Tatarzy istotnie, dopatrzawszy nieładu, rzucili się ciałem na rozruszony tabor: wtedy sądny dzień się począł. Wszystko w obozie całemi oddziałami runęło w step ku Dniestrowi, ścigane strzałami Tatarów i tratowane ich końmi; głos wodzów ucichł już dawno, buńczuk hetmański nadaremnie wspinał się ponad głowy zwątpiałych; każdy, straciwszy obronę jaką nadaje siła organizacji, ratował się pojedynczo; przy hetmanie pozostała tylko starszyzna i 300 jezdnych. Miał więc hetman spełnić jeden jeszcze wielki obowiązek: odpowiedzieć za winę wszystkich, śmiercią heroiczną ocalić sławę rycerstwa polskiego, którą inni na szwank narazili. Żółkiewski, na znak że uciekać nie myśli, przebił własną ręką konia, i tak z trzystą rycerstwa szedł, torując sobie drogę wśród chmury rozżartego pogaństwa. Garstka ta postępowała pieszo, powiązanemi, czyli, jak nazywano technicznie, — pobatożonemi końmi otoczywszy się niby drugim taborem; aż na widok znacznego oddziału Tatarów znowu wszczął się popłoch. Kto mógł dopadł konia, tak iż przy hetmanie zostało zaledwie kilkunastu nieustraszonych: krewni, naczelnicy i bliżsi dworzanie. Ci, widząc niepodobieństwo dalszej obrony, a ceniąc to drogie dla nich życie, podawali mu konia, aby się zarówno z drugimi ratował. Ale czyż taki hetman powróci do ojczyzny bez wojska? kiedy siłą nie mógł utworzyć sobie drogi, nie będzie jej szukał ucieczką. Odprawił syna i synowca, nie chcąc przyjąć od nich podawanych mu koni, aż Koniecpolski użył gwałtu, aby go wsadzić na koń, i zaledwie dosiadł go Żółkiewski, porwał go z sobą przebiegający jakiś oddział jazdy polskiej, hetman znikł z oczu towarzyszy, a resztę pokrył już mrok tej pamiętnej nocy, której dziś właśnie dwuchsetną czterdziestą mamy rocznicę⁽¹⁾.

Nazajutrz znaleziono już tylko zwłoki hetmana z obciętymi obu rękami; snadź zginął z szablą w dłoni, jak pragnął. Pogaństwo odcięło tę czcigodną głowę, renegat posłał ją czempredzją do Carogrodu, aby rozradować duszę swojego pana. Wiele trudów poniosła nieszczęsna żona, nim ją zdołała odzyskać; ciało przedzją od Tatarów odkupiono na miejscu, i przy czterdziestodniowym nabożeństwie żałobnym, nakazanem po całej Polsce, pochowano w grobach żółkiewskiego kościoła. Obok hetmana poległ waleczny Denhoff, dowódca cudzoziemskiej rajtary; inni, jakoto: obaj Żółkiewscy, Koniecpolski, Samuel Korecki, Mikołaj Struś, Aleksander Bałaban, Mikołaj Potocki, Włodzimierz Farenbach, poszli w niewolę pogańską; ocalał jeden tylko Szemberg dowódca artylerji. Zginął też wówczas przy hetmanie, niegdysjego dworzanin, przybłęda Michał Chmielnicki, ojciec słynnego Bohdana, dowodzący poczem Kozaków przysłanych od Daniłowicza, drugiego zięcia Żółkiewskiego, a syn dostał się do niewoli tatarskiej, która później na dobre mu wyszła. Uczciła pamięć męża Regina Żółkiewska znajomym nam pomnikiem, na miejscu chwalebnej śmierci jego postawionym⁽²⁾, uczciła go cała Polska wspomnieniem, które do dziś dnia wdzięcznością i dumą przejmuje serce każdego współziomka i wiecznie przejmować będzie. Są prace i są postacie historyczne, którym odległość dodaje znaczenia i wzrostu.

Taką tedy klęską wojska i taką chwałą wodza skończyła się ta kampania, która kirem cały kraj powlekała, a lubo w rok potem hetman Chodkiewicz dał Turkom pod Chocimem znakomity odwet, jednakże Polska od owych czasów raz na zawsze utraciła wpływ na Wołoszczyznę, o którą tyle najszlachetniejszej krwi rozlała.

Kazimierz Kaszewski.

(1) Przypominamy że artykuł ten rozpoczęty był w zesłaniu sobotę, t. j. dnia 6 października.

(2) Rysunek jego i opis znajdował się w Nr. 35 naszego Tygodnika.

ROZMAITOŚCI.

Szczególny starożytny zwyczaj w Polsce. Pierwszy Tadeusz Czacki zauważył, że był zwyczaj przez niektóre magistraty miejskie tolerowany, iż jeżeli jaki hultaj bezżenny, wyprowadzony na karę śmierci, poruszył serce której z patrzących dziewczyn, i ta mu swój rańtuch rzuciła na głowę, przebaczano zbrodnią i zaraz do ślubu tę parę wiedziono. Nie mieliśmy wszakże na ten szczególny zwyczaj dotychczas żadnych piśmiennych dowodów. Teraz jeden z uczonych badaczy naszych, pomiędzy rękopismami udzielonemi sobie od Karola hr. Krasieńskiego, odkrył ciekawy list Józefa Lipskiego z r. 1769, pisany do Krasieńskiego, oboźnego wielkiego koronnego, w którym znajdujemy wyraźny dowód, iż wtedy jeszcze, to jest w pięć lat po wstąpieniu na tron Stanisława Augusta, zachowywano dawny zwyczaj, jakkolwiek żadną literą prawa nieuświęcony. List ten brzmi jak następuje:

Jaśnie Wielmożny Panie!

„Gdy nieboszczyk Marcin Sobe... brat żony mojej, od pracowitego Bartłomieja Chwałę z Zofią Sobe..., bratową mą okrutnie zamęczony został, takowych zabójców schwytawszy, odesłałem do sądu miejskiego krasnostawskiego w roku przeszłym (1768 r.). Takowych winowajców trzymałem w areszcie miejskim niedziel jedenaście, wikt dla nich opatrywałem, straży pilnującej płaciłem, proces kryminalny z niemi wiodłem, wykonywacza sprawiedliwości sprowadziłem, na trunki sędziom miejskim niemało ekspensować musiałem, tak, że na tę sprawę blisko tysiąca złotych ekspensowałem.

„W sprawie takowej doczekałem się dekretu dwunastego tygodnia: odesłano urodzoną Sobe..., jako szlachciankę, do grodu, obwinionego zaś Bartosza skazano na śmierć.

„Lecz gdy przyszedł termin egzekucji, idącego już na plac *dziewka jakaś chustką zarzuciła*. Po którym bezprawnym postępkowi zamiast egzekucji dekretowi, poprowadzono go z halabardami cechy do kościoła i tam go księżom oddano, a mnie ze szczeniem zniszczonemu, żadnej satysfakcji nie uczyniono.

„Tak wielkiej krzywdy chciałbym poszukiwać na mieście Krasnostawie, a że człowiek zniszczony, przeto suplikuję jaśnie wielmożnego pana o zarekomendowanie mnie j. w. podkanclerzowi koronnemu, aby mi patron *miserabilium* w tej sprawie był przydany, tudzież o opatrzenie mnie chudego pacholka.“

Rzecz godna uwagi, że zwyczaj ten powstał i utrzymywał się tak długo jedynie na Rusi polskiej. Żadnego śladu jego niema w innych stronach starożytnej Polski, gdzie tylko czyste narzecze polskie istnieje.

U górali ruskich hucułów, zamieszkujących Karpaty, zwyczaj ten dotrwał w żywej pamięci. Wiadomo że długo z tych górali zawiązywały się bandy opryszków, którzy trwogą napelniali wszystkie drogi i przesmyki górskie. Każdy schwytyany opryszek, podług prawa doraźnego, kończył śmiercią na szubienicy.

W roku 1828 trzech opryszków w cyrkule kołomyjskim tracono: dwom parobkom dorodnym hucułki zarzuciły swe rańtuchy na głowy, ale ich od kary nie zasłoniły. W r. 1832 sam byłem świadkiem, jak tracono opryszków schwytyanych. Jeden młody dwudziestoletni hucuł szedł z taką obojętnością na miejsce kary, że fajki z ust nie wypuścił. Z tłumu ciekawych, zanim stanął pod szubienicą, wybiegła hoża góralka, zarzuciła mu swój rańtuch na głowę i objęła go rękami. Była to jego *lubaszka*: myślała że tym sposobem, jak jej starcy opowiadali, uratuje narzeczonego; ale daremnie, bo wkrótce ujrzała go na szubienicy.

K. Wł. W.

KORRESPONDENCYA OD REDAKCYI.

Panu S. G. z Tesz. Wiersz nadesłany doręczony został podług wskazania.

Panu Feliksowi Ko... w Warszawie. O Ukrainie i Kozaczynie wielu już pisało wiersze lepsze i gorsze, a najwięcej podobno tacy, co nigdy tam nie byli. Po Goszczyńskich, Zaleskich, Izopolskich i Padurach, potrzeba wielkiego talentu i gruntownych studyów miejscowych, żeby na tém polu wystąpić z powodzeniem.

Panu A. N. w Wilnie. Wiersz p. t. „Jeździec“ zaliczyć musimy do kategorii plodów miedonoszonych, którym raz na zawsze miejsca w piśmie naszym odmawiamy.

ROZMAITE GATUNKI SZARAŃCZY.

Nr. I.

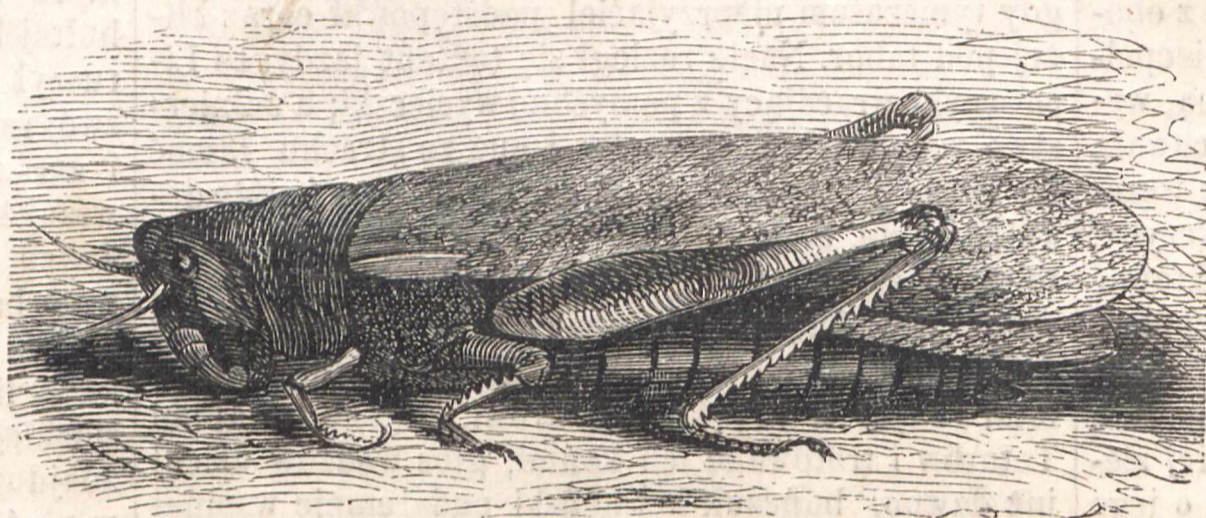
Szarańcza wędrowna. (*Acrydium migratorium*).

Dwa do trzech cali długa, błękitnawo-zielona. Ojczyzną jej stępy wschodnio-południowej Europy. W miesiącu sierpniu przylatuje z wiatrem do krajów zachodnich. Gdzie spocznie, pożera liście drzew i zboża wszelkiego rodzaju. Najlepszym środkiem wytopienia jej jest grzebanie w rowach i palenie.

Nr. II.

Szarańcza wędrowna pasożytna. (*Acrydium migratorium parasitum*).

Pięć do sześciu stóp długa, czarno-czerwono-żółta. Ojczyzną jej płaszczyny środkowej Euro-



Nr. I. SZARAŃCZA WĘDROWNA.

py. Na wiosnę przybywa pieszko do krajów wschodnich. Gdzie spocznie, pochłania wszystko, a szczególnie zarobek. Raz zagnieżdżona, nie odstąpi aż się dobrze wypasie. Najlepszym środkiem wytopienia jej jest zamilowanie w pracy krajowców.

Nr. III.

Szarańcza upiór. (*Acrydium vampir*).

Rozmaitej długości, barwy brudno-nieczemnej, czoło wytarte, serca brak zupełny. Przebywać lubi szczególnie po miastach i miasteczkach. Ryjąc grunt społeczeństwa, podgryza młode zwłaszcza latorośle, czyniąc ogromne w przyszłych plonach spustoszenia. Najlepszym środkiem wytopienia jej jest zakładanie Domów zleceń i przestawanie na swojém.



Nr. II. PRZYBYSZE.



Nr. III. LICHWIARZE.



Nr. IV. GUWERNEROWIE I GUWERNANTKI.



Nr. V. LINOSKOKI I KATARYNIARZE.

Nr. IV.

Szarańcza niby-uczona. (*Acrydium pseudo-doctum*).

Rozmaitej długości i objętości, barwy mieniącej i naleciałej. Ojczyzną jej krainy nadsekwaniańskie, z kąd przylatą do nas już dorosła. Gdzie spocznie, wysysa z młodych latorośli soki rodzinne. Lubi przebywać szczególnie po domach pańskich, ucząc tam dziatki świerkania po swojemu. W gatunku tym więcej nierównie jest samic jak samców. Wytopić go może jedynie zdrowy rozsądek i zamilowanie swojszczyzny.

Rozwiązanie zadania szachowego Ner 39.

Białe.

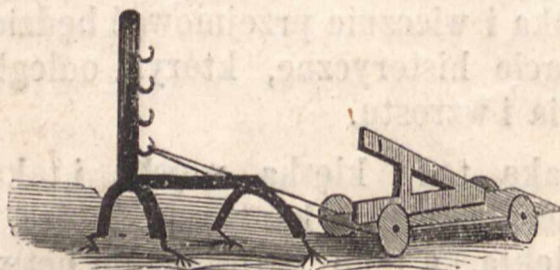
Czarne.

- 1) D 3 — A 6 1) E 3 — D 4.
- 2) B 4 — D 5 biorą† . . . 2) C 6 — D 5 biorą.
- 3) A 6 — H 6 biorą† i mat.

Gdyby czarne w pierwszym posunięciu poszły inaczej, to koń B4—D3† i mat.

REBUS.

mat
tu



MONETA FRANCUZKA

Nr. V.

Szarańcza skacząca. (*Acrydium saltans*).

Dwie i pół do sześciu stóp długa, barwy wytartej, cielisto-popstrzonej. Ojczyzną jej głównie zachodnio-południowa Europa. Gatunek ten łatwo wyucza się różnych sztuk łamanych. Po miastach gnieździ się w norach podłużnych lub okrągłych, nakształt bud lub cyrków. Gdzie spocznie pochłania czas i pieniądze, tłumiąc przytęm w zarodzie smak dobry i uczucie godności człowieczej. Dla wytopienia jej najlepiej jest nie patrzeć i nie słuchać.—Tu także należy podgatunek: *Szarańcza skacząca katarynkowata* (*Acrydium saltans catharinicum*), różniąca się od poprzedniej mniejszą biegłością w skokach i nieznośnym brzęczeniem. (Dokończenie nast.)

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 54.
Dobra matka czule miłuje dzieci i w ich jedynie cnotach szuka chwały.